

Janina Bauman

**D**o zapowiedzianego przez profesor Aldonę Jawłowską „grochu z kapustą” chcę dorzucić maleńki groszek. Groszek maleńki, ale dla mnie dużej wagi. Marii Ossowskiej nie znałam nigdy jako uczoney. Magisterium z filozofii robiłam w późnych latach 50. Moja dziedzina była z pogranicza estetyki i psychologii; promotorem był Stefan Morawski, a patronował profesor René Zazzo z Paryża. Maria Ossowska, Stanisław Ossowski, Tadeusz Kotarbiński, to były dla mnie mity, legendy. Legendy o posmaku czegoś solidnego, przedwojennego, może trochę *ancien régime’u*, ale godnego wielkiego szacunku.

Przez lata nie zetknęłam się z Marią Ossowską osobiście, aż przyszedł dzień, kiedy ją poznałam. Był kwiecień 1968 roku. Pozbawieni pracy oboje, opluwani przez telewizję, prasę i radio, śledzeni przez agentów, nękani telefonami wrogimi, bylibyśmy w rozpacz, gdyby nie to, że doświadczaliśmy jednocześnie przejawów ogromnej sympatii i przyjaźni. Była to huśtawka uczuciowa. Każdemu złemu telefonowi towarzyszyła jakaś reakcja ze strony bądź przyjaciół, bądź ludzi mniej znanych, mniej zaprzyjaźnionych, bądź oczywiście przyjaciół, z których na szczęście niewielu ubyło, choć trochę ubyło, a bardzo często ze strony osób obcych, które stawały się przyjaciółmi. Mimo to byliśmy w rozpacz, nie wiedzieliśmy co robić. Chodzili za nami agenci. Córkę starszą usunięto z Uniwersytetu, bo była studentką. Córki młodsze wracały ze szkoły zapłakane, bo dzieci krzyczały, że mają wynosić się do Izraela. Inne dzieci odprowadzały je, przynosiły książki i lekcje do odrabiania i były przyjazne. Taka huśtawka uczuciowa w tym czasie charakteryzowała nasze życie, zbieraliśmy się do decyzji o emigracji. Wydawało się, że innego wyjścia nie będzie. I kiedy dzień mijał i przychodziła noc, pozostawała już tylko rozpacz. Pewnego dnia, gdy tak siedzieliśmy w naszym domu przy ulicy Nowotki, usłyszeliśmy, że ktoś z trudem wspina się na III piętro. Winda, jak zwykle, była zepsuta. Ktoś bardzo głęboko oddychał, najwyraźniej zmęczony. Dzwonek. Otworzyłam drzwi. W progu, prowadzona przez Elżbietę Neyman, która była bardzo częstym gościem w naszym domu w tamtych czasach, stała dama wysoka, w czerni, w wielkim, czarnym kapeluszu (z sali: „w granatowym”). No właśnie, to jest pamięć, ja pamiętam tak... w wielkim, czarnym kapeluszu, i z wielkim pękiem czerwonych róż. Oniemieliśmy wzruszeni, zaprosiliśmy do środka, posadziliśmy na nowoczesnym foteliku, który był strasznie niewygodny. Jakaś herbatka, bo na wiele więcej nas nie było stać. Ja teraz nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy. Pamiętam,

że przede wszystkim było wzruszenie i że cała moja uwaga, i moja troska skupione były na tym, żeby Pani Maria Ossowska nie spadła z tego fotelika, bo to się niektórym naszym gościom zdarzało. Nie spadła. Posiedzieliśmy, porozmawialiśmy zupełnie nie wiem o czym i poszła. I zostało nam uczucie wielkiej wdzięczności, wielkiej otuchy. Póki tacy ludzie są, to jeszcze nie wszystko stracone. Tyle tylko chciałam powiedzieć.